

Dariusz Gawin: Warszawscy konserwatyści lat 90.

Zwycięstwo tego specyficznego demoliberalnego projektu i kooptacja do niego postkomunistów stanowi klucz do zrozumienia historycznych i intelektualnych źródeł naszego pokolenia



Zwycięstwo tego specyficznego demoliberalnego projektu i kooptacja do niego postkomunistów stanowi klucz do zrozumienia historycznych i intelektualnych źródeł naszego pokolenia

Kiedy mowa o korzeniach środowiska warszawskich konserwatystów, do których należał Tomasz Merta, trzeba pamiętać, że chodzi o ludzi średniego pokolenia. Rzeka jego historii pokonała już sporą odległość

od swych źródeł – dystans dwudziestu lat. W tym czasie zdążyło wyrosnąć nowe, młode pokolenie, komentujące nasze zmagania z rzeczywistością i mające dzisiaj tyle lat, ile my sami, kiedy zaczynaliśmy. To zastrzeżenie jest potrzebne, bo historyczne i intelektualne źródła i konteksty naszego myślenia i działania stały się do pewnego stopnia *historyczne* właśnie, a więc pozbawione swej pierwotnej oczywistości.

Czasy naszych początków zbiegły się z końcem komunizmu i początkami wolnej Polski. Upadek PRL-u, wybory czerwcowe, rząd Mazowieckiego i wojna na górze, obalenie rządu Olszewskiego i walka o lustrację, zwycięstwo Kwaśniewskiego i postkomunistów – to był ciąg zdarzeń politycznych, który rozpałał namiętności i dostarczał materiału do namysłu nad polityką. Namysłu – łączyło nas bowiem przekonanie, że spór ten sięga głęboko pod powierzchnię politycznych awantur. Budowa wolnej Polski stawała się na naszych oczach jeszcze jednym wielkim, wydarzającym się od czasu do czasu w historii Zachodu, eksperymentem tworzenia fundamentów polityczności. Jego przebieg w polskich warunkach budził często nasz sprzeciw. Należy to podkreślić, bo w potocznej wyobraźni konserwatysta to człowiek chroniący istniejący ład i niechętny zmianom, raczej zadowolony z tego, co jest, co istnieje i trwa. Nasze pokolenie dochodziło do konserwatyizmu inaczej: byliśmy bardzo niezadowoleni z tego, jak wygląda polska wersja – by przywołać frazę Hannah Arendt – konstytuowania wolności.

Wolną Polskę tworzyli ludzie o często lewicowych, potem lewicowo-liberalnych poglądach. To prawda, wszyscy oni byli w latach 80. antytotalitarni i walczyli z systemem, jednak gdy zabrali się do budowania państwa i ustalania podstawowych reguł życia publicznego,

zaczęli popełniać zaskakujące błędy bądź głosić poglądy zadziwiające krótkowzrocznością. Było to pokolenie, dla którego wolność, niepodległość i demokracja streszczały się do jednego hasła: powrotu do normalności, czyli do tego, co jest na Zachodzie. Miał to być triumf zdrowego rozsądku, ponad prawicą i lewicą. Ale okazało się, że porządek budowany po rzekomym końcu wielkich ideologii oznacza w istocie pełną akceptację demoliberalnego projektu. Co gorsza – stało się tak przez ludzi, którzy w latach 80. często byli dla nas autorytetami.

Zwycięstwo tego specyficznego demoliberalnego projektu i kooptacja do niego postkomunistów stanowi klucz do zrozumienia historycznych i intelektualnych źródeł naszego pokolenia. To ono określiło klimat lat 90., w którym było nam duszno i z którego chcieliśmy się wyrwać. Przypomnijmy: dziwaczny triumf swego rodzaju pozytywizmu prawniczego, proceduralnej demokracji i takiej wizji państwa, w której nie było miejsca na wartości czy tradycję. Dziki leseferyzm w sferze kultury – prawda miała konkurować na równych prawach z kłamstwem, a państwu nie wolno było zajmować w tych sporach żadnego stanowiska. Porzucenie polskiej tradycji – odesłanie jej do lamusa, „oddanie jej historykom”, jak to się wtedy mawiało, na czele z wielką tradycją Solidarności (którą pogardliwie nazywano „styropianem”, „kombatanctwem”, za której istnienie przepaszano). Nagły odwrót od Kościoła i religii. Te rzeczy nie tylko bolały. One zadziwiały jako intelektualny błąd, jako defekt myślenia. Nie chcieliśmy jednak twórcom nowej rzeczywistości przeciwstawiać tylko gniewu, choćby najbardziej słusznego. Potrzebna była zarówno krytyka, jak i pozytywna alternatywa.

Opisanie tego błędu i zaproponowanie innej drogi wymagało sięgnięcia do źródeł – do filozoficznych sporów obecnych w historii Zachodu od momentu narodzin nowoczesności, przede wszystkim zaś do sporu konserwatystów z liberałami. Głębiej nawet – do klasycznej filozofii, bo lektura platońskich dialogów ukazywała, jak wiele z naszych kłopotów jest tylko wariantem sporów opisanych już w *Gorgiaszu* czy *Państwie*. Piszę o tym dlatego, że bez przywołania tego kontekstu nie sposób zrozumieć na przykład postulatu polityki historycznej wysuniętego przez nasze środowisko. Żeby była jasność – walcząc z polską odmianą demoliberalnych porządków, nie walczyliśmy z samą ideą demokratyczną. Chodziło raczej o to, jak dokonać jej komunitariańskiej korekty, jak demokratyczną formę nasycić wspólnotową treścią, jak związać ją z polską i zachodnią tradycją, jak sprawić, aby dostrzegła znaczenie religii dla sfery tego, co polityczne. Polityka historyczna była bodajże najbardziej udaną formą takiej „korekty”. W historii jednak jest tak, że zwycięstwa znoszą swoje przyczyny. Przywołane tutaj hasło polityki historycznej, dziesięć lat temu budzące wielkie emocje i atakowane z wielu stron, dzisiaj stało się już trwałym i do pewnego stopnia nawet oczywistym elementem rzeczywistości.

Ta uwaga jest ważna dlatego, że nowe pokolenie, pokolenie współczesnych trzydziestolatków, zмага się już z innymi problemami. Z ich perspektywy lata 90. to czasy odległe i niemalże dziewicze: na uniwersytetach *gender studies* ledwo raczkowały, odwoływanie się do marksizmu kompromitowało nie tylko politycznie, ale i towarzysko, kapitalizm szalał, ale i dawał możliwości nieograniczonych karier – zamiast szklanego sufitu widniało hasło: „sky is the limit”.

Dariusz Gawin

Text published in the volume *Konserwatyzm. Państwo. Pokolenie*